NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 35 Katowice, 4-go września 1932

Na niedzielę szesnastą po Świątkach

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 14, w. 1—11.

W on czas: Gdy Jezus wchodził w szabat do domu jednego z wybitnych faryzeuszów, aby się posilić, oni Go śledzili. I oto stanął przed Nim pewien człowiek, chory na puchlinę. A Jezus, zagajając rozmowę, odezwał sie do uczonych w zakonie i do faryzeuszów, mówiąc: Czy godzi się w szabat uzdrawiać? Oni jednak milczeli. On więc, dotknąwszy się, uzdrowił go i odprawił. Przemówił też i rzekł do nich: Jeśli osieł lub wół któregokolwiek wpadnie do cysterny, czyż nie wyciągnie go natychmiast w dzień szabatu? I nie mogli Mu na to odpowiedzieć. A spostrzegłszy, jak skwapliwie wybierano sobie pierwsze miejsca, opowiedział zaproszonym przypowieść, mówąc do nich: Gdy cię zaproszą na gody weselne, nie zajmuj miejsca pierwszego, aby przypadkiem nie zaproszono godniejszego od ciebie. A wtedy ten, co was obu zaprosił, zbliżyłby się i rzekł do ciebie: Ustąp miejsca temu. Wówczas zaś ze wstydem musiałbyś zająć miejsce ostatnie. Atoli gdy cię zaproszą, idź, zajmij miejsce ostatnie, aby — ꞔ oro nadejdzie, który cię zaprosił — mógł ci powie..zieć: Przyjacielu, posuń się wyżej. Wtedy spotka cię chwała wobec współbiesiadników. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon.

Nauka.

„Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon".

Wspomniana w dzisiejszej ewangelji gościna u jednego z wybitnych faryzeuszów daje Chrystusowi Panu sposobność do udzielenia dwóch nauk: o prawdziwem święceniu dnia świętego i o wynoszeniu się nad drugich.

Chrystus Pan widzi, jak skwapliwie zaproszeni w gościnę wybierają pierwsze miejsca, nie oglądając się na gospodarza, który potem wedle godności zaproszonych jednemu powie: „Ustąp miejsca temu" a drugiemu: „Przyjacielu, posuń się wyżej".

I my jesteśmy gośćmi, zaproszonymi przez Boga na gody życia. Ale miejsce nasze na tych godach nie od nas zależy, choć nam się tak wydaje. I nie oglądając się na Gospodarza, nieraz łokciami zdobywamy sobie wyższe miejsce. Lecz kiedy najmniej się spodziewamy, Bóg przykłada do nas Swą miarę i wówczas ze wstydem musimy zająć ostatnie miejsce. A ci, co skromnie czekali miary i wezwania Bożego, zajmują nasze miejsca.

Jeżeli kiedy, to na dzisiejsze szczególnie czasy przyda się ta Chrystusowa nauka i te czasy namacalnemi dowodami jej przyświadczają.

Oto były państwa, które butą swoją, bagnetami i armatami albo bogactwem robiły sobie pierwsze miejsce na świecie. Było i takie, które w pysze swojej śpiewało na cały świat: „Deutschland, Deutschland über Alles" — Niemcy, Niemcy ponad wszystko — i nawet Boga się nie bało, bo sobie obmyśliło swego — niemieckiego. Lecz przyszedł Bóg ze Swoją miarą i wyrzekł Swoje twarde słowo: Ustąp miejsca innemu. I dziś dawny mocarz siedzi na wysłudze w skromnym zameczku w Holandji i drzewo rąbie dla rozrywki, a dzisiejsi ministrowie jego państwa jeżdżą pieniądze pożyczać u tego, którego chcieli wysadzić z miejsca na świecie — u Francji.

Skromności winna się z dzisiejszej ewangelji nauczyć także młodzież. Niech nie sądzi, że na tej mierze, którą Bóg ludzi mierzy, oznaczone są jako jej stopnie, jedynie młodość, siła, pewność siebie lub rekord sportowy. Na tej Bożej mierze są jeszcze inne wartości, których żadne hasła dnia dzisiejszego nie zatrą. Wartościom tym, gdy przyjdzie czas, przez Boga ..zewidziany, trzeba będzie ustąpić miejsca zdoby..ego łokciami i zarozumiałością.

Zwycięstwo prawdziwej wiary.

W roku 1859, gdy po zawarciu pokoju w Villafranca wojska austrjackie cofnęły się w głąb kraju, pewien oficer niemiecki, który należał również do tej wyprawy wojennej, leżał na łóżku przy oknie w pewnym prywatnym domu w Insbruku i spoglądał posępnie na ludzi, snujących się jak mrówki po ulicy. Chociaż lekką tylko otrzymał ranę, był jednak bardzo smutny i przygnębiony, na sercu zaś czuł taki ciężar, że sobie rady dać nie mógł. Sam bowiem patrzał na nieszczęście i spustoszenie całego kraju, które tysiące ludzi do zupełnej doprowadziło zguby. Nie stoczone jednak bitwy, lub wspomnienie głodu, nędzy i śmierci tylu nieszczęśliwych raniły głęboko jego serce, ale okropne powstanie zwyrodniałych ludzi, którzy bez żadnego współczucia dla cierpienia innych patrzyli obojętnie na zgłodniałych i umierających swych bliźnich i myśląc tylko o własnem ocaleniu, uciekali jak spłoszone zwierzęta przed ścigającym nieprzyjacielem. Zdawało mu się, że w sercach ludzi znikło już zupełnie uczucie ludzkości, w całem zaś ich postępowaniu i działaniu widział tylko gonitwę za marnym zyskiem albo próżną sławą, jak również samolubstwo, dzikość i okrucieństwo. Pamięć nawet o Panu Bogu zatarła się prawie w jego duszy wobec takiego widoku niegodziwości ludzkiej i nic też dziwnego, że straciwszy szacunek dla drugich, a nadzieję lepszego jutra dla samego siebie, patrzał teraz przed siebie z głuchą, ponurą rozpaczą.

Nagle ujrzał przejeżdżający po ulicy prosty

mały wózek, otoczony licznym tłumem ludzi. Na wozie wśród słomy leżał jakiś człowiek okryty kołdrą, u nóg zaś jego siedziała kobieta, której niezwykły ubiór zwrócił na siebie uwagę oficera. W tej samej chwili do pokoju wszedł jego służący.

„Co się stało tam na dole?“ zapytał oficer, bardziej przez ciekawość, niżeli przez współczucie.

„Za miastem o godzinę drogi od przedmieścia znaleziono w rowie przydrożnym jakiegoś pokaleczonego i nawpół umarłego żyda“, odparł służący. „Teraz więc Siostra Miłosierdzia wiezie tego człowieka do swego klasztoru, ażeby go wyleczyć, jeżeli się uda. Oto i wszystko!“.

Dziwny wewnętrzny niepokój skłonił oficera do wejścia na ulicę. Mimowoli poszedł za tłumem, zbliżył się do wozu, spojrzał na Siostrę Miłosierdzia, która ciągle z macierzyńską niemal troskliwością spoglądała na poranionego żyda i wszedł wraz z nią do klasztoru, do sali przeznaczonej dla chorych i cierpiących.

Teraz zaczął się przyglądać gorliwej pracy Siostr, które z taką samą troskliwością pielęgnowały wszystkich chorych bez różnicy stanu lub religji i pomyślał o ciężkiej ofierze, jaką poniosły te dziewice, o wyrzeczeniu się przez nie rodziny, majątku, wolności i wszystkich rozkoszy życiowych, dla tego jedynie, aby najuboższym, najnieszczęśliwszym swym braciom w Chrystusie śpieszyć ciągle z pomocą i to aż do końca życia. Pomyślał też sobie, że za to poświecenie nie dostaną żadnej na ziemi nagrody, a nawet za najtroskliwszą pieczę doznają może kiedyś najczarniejszej niewdzięczności. To go uleczyło. Obraz tak bezgranicznego poświęcenia, tak zupełnego zaparcia się siebie i tak świętego powołania w samotności i ciszy dla dobra cierpiącej ludzkości i dla chwały Bożej, ten piękny i wzniosły widok zatarł od razu w jego umyśle i pamięci okropne obrazy tych tysięcy ludzi ze skamieniałemi sercami bez serdecznego współczucia i czynnej pomocy wraz ze wspomnieniem wstrętnego, okropnego, pokrytego trupami pobojowiska. Uwierzył on znowu po dawnemu w człowieka, w jego godność, współczucie i dążenie do rzeczy wielkich, szlachetnych i świętych, a zarazem odzyskał wiarę w Boga, który wlał w serce ludzkie to pragnienie dobra, żadnego zaś pięknego czynu nie pozostawi bez nagrody.

Zatopiony w tych pobożnych i pocieszających rozmyślaniach, młody oficer w milczeniu powrócił do swego mieszkania. Wydał mi się zupełnie zmienionym, jakimś innym, niż był poprzednio, gdyż na wszystko, co tu opisuję, własnemi patrzałem oczyma. Raz jeszcze ujrzał oczyma duszy przejeżdżającego nawpół umarłego żyda, a u nóg jego Siostrę Miłosierdzia, wpatrzoną w nieszczęśliwego jak w brata, zesłanego jej przez Boga, na myśl zaś o tem łza świętej radości zwilżyła jego oko, z ust zaś mimowoli wydobyły się słowa: „Oto zwycięstwo prawdziwej wiary i miłości Bożej, która cały świat podbija!“.

Nagroda za dobre wychowanie

Była to już późna jesień. Wiatr postrącał resztę zżółkłych liści z drzew. Burza pozrywała na stoku góry winną latorośl, a ta uderzyła za każdym powiewem wiatru nieprzyjemnie w okno. Góry i górną część doliny, w której leżała nasza miejscowość zakrywała mgła. Jeszcze nigdy nie czułem się tak nieswojsko w swoim domu jak dzisiaj. Wziąłem więc kapelusz i zarzutkę i poszedłem na dolinę do pewnej znajomej mi rodziny, gdzie zawsze bywałem mile przyjmowany. Gdy wszedłem do mieszkania, zastałem już wiele innych gości, którzy przyszli tutaj rozpędzić smutki, jakie ponury listopad sprowadzał.

Przyjacielska gospodyni prowadziła rozmowę na temat potrzeby lepszych mieszkań dla ubogich ludzi, którym wobec szybko nadchodzącej zimy, mrozy mogłyby wielkie szkody wyrządzić. Roztaczano przed memi oczami obraz ludzkiej biedy, której ja z powodu krótkiego pobytu w miejscowości dostrzec nie miałem czasu. Szczególniej głośno rozprawiano nad losem familji Z., przyczem różne sprzeczne można było słyszeć zdania.

„Pani Z. jest nierozsądnie dumna“, mówił burmistrz miejscowości, „nigdy się nie mogła zgodzić z właścicielami domu, teraz również nie może spokojnie wysiedzieć, jutro się musi wyprowadzać. Ja nie wiem, dokąd się teraz uda z mężem i dziećmi, chyba do domu ubogich, do pijanego muzykanta Kegelmana“.

„To mi bardzo przykro; chodzi mi o dzieci“, zauważył nauczyciel, „nie chcę sądzić charakteru pani Z., ale dzieci swe wychowuje bardzo dobrze; dzieci jej są uległe, skromne, pilne i czyste. Obawiam się, czy nienawiść właścicieli domów, którzy jej mieszkania oddają, nie wyrasta z tego, że pani Z., trzyma o ile możności swe dzieci zdala od towarzystwa, w któremby się musiały obracać. Sądzę jednakże, że robiąc to, robi dobrze“.

„Lecz“ przerwałem, „dla czegóż nie słychać nic o mężu jej, który jest przecież głową rodziny? Dla czegóż się ciągle tylko o pani Z. rozmowa toczy?“.

„To jest już druga część biedy ludzkiej“, odpowiedział nadleśniczy, który do tego czasu głosu zupełnie nie zabierał. „Z., był jednym z najlepszych robotników w lesie, i jak długo miał u mnie robotę, familja jego nie znała biedy. Lecz przed kilkoma laty pień. którego ściągał po śniegu do wsi, uderzył go w plecy. Od uderzenia rozchorował się i od tego czasu jest powolnym i ociężałym; nie wiem, czy to z tego powodu, że krzyż pacierzowy wskutek silnego uderzenia został uszkodzony, czy też dla tego, że bierze sobie bardzo do serca straty w swoim zarobku. Robię dla niego, co mogę, ale i to ma naturalnie swoje granice, a on posuwa się coraz bardziej w przepaść“.

Te wiadomości rozdarły mi serce — miałem to przekonanie, że w tym wypadku jakaś rzeczywiście dzielna rodzina opierała się zepsuciu, już to przez to, że matka tej rodziny miała delikatne poczucie sumienia i honoru, już to że otoczenie, w którem żyła, było dla niej za proste, a odwiedziny, które jej to toczenie składało, wprost dla niej nużące.

Tymczasem nastał wieczór; wszyscy się powoli porozchodzili; każdy rozmyślał nad tem, o czem w dzień rozmawiano. Gdy stanąłem przed drzwiami mojego mieszkania, na wpół zatopiony w myślach, na wpół zajęty otwieraniem kluczem, zawiał wiatr od pobliskiej sadzawki; usłyszałem pluskanie zimnych fal i szum zmarzniętej trzciny. Wkrótce doszły mię jakby jęki dziecka i ciche szepty. Podsłuchałem — wszędzie cisza zaległa.

N... ...liwa kobieta w zwątpieniu przyszła z niemowlęciem i ze starszą córeczką nad sadzawkę, gdzie już niejeden szukał końca swych nieszczęść a znalazł początek wiecznego zatracenia. Po drodze pytała się jej córeczka: Mamo, gdy umrzemy, tato i rodzeństwo będą mieli dosyć do jedzenia? Potem gdy już stanęły nad brzegiem, a mały braciszek zaczął z zimna płakać, matka uścisnęła go po raz ostatni, córeczka zapytała się powtóre: Mamusiu, mogę się pomodlić przed śmiercią. Matka skinęła głową, a dziecię zaczęło się modlić.

— Bardzo małe serce moje, lecz jest całe Jezu twoje, a zrób dobrem dziecię Twoje!

To było już za dużo dla serca matki. Wzięła córeczkę za rękę i więcej biegła, niż szła do domu. Wielki przyjaciel dzieci w niebie rozpostarł niewidzialnie skrzydła swej opieki nad dziećmi i matką. Została uratowaną od upadku wiecznego, uratowaną przez modlitwę małego dziecięcia.

Dzieci, módlcie się. Matki uczcie dzieci pacierza.

Jak ty uczcisz ojce swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

Dawne to przysłowie, którego prawda nieraz nie tysiąc razy się ziszczała i to nietylko pomiędzy wieśniakami, nietylko pomiędzy ludźmi należącymi do tak zwanych klas niższych, ale nawet pomiędzy ludźmi wyższego towarzystwa, pomiędzy tymi, którzy rozumem, wykształceniem a przedewszystkiem wychowaniem powinni przyświecać innym, być przykładem dla drugich.

Poszanowanie dla siwego włosa — to uczucie wrodzone każdemu człowiekowi; a cóż dopiero mówić o poszanowaniu, które winno pochodzić z serca i wiecznie tlić w niem niby nieustający ogień.

Tak być powinno. Ale czy tak jest?...

Mocnoby się zawiódł, ktoby utrzymywał, że poszanowanie, cześć i miłość dla rodziców są powszechne w sercach wszystkich ludzi. Niechby się przeszedł czy po miastach, czy po sadybach, czy po siołach, niechby tam wejrzał dobrze w domowe stosunki, przekonałby wtedy się ze smutkiem, jak rzadko ta cześć, ta miłość dzieci dla rodziców bywa zachowywana; jak często dzieci — gdy od rodziców już nic nie potrzebują, albo się już nie mają czegokolwiek od nich spodziewać — zamiast staremu ojcu lub matce umilić tę resztkę życia chwil, jaką oni do przeżycia mają, ledwie ich znoszą przy sobie, niemal że nie życzą im w duchu, aby coprędzej poumierali.

Bywają takie dzieci, które sędziwemu ojcu lub matce żałują po prostu kawałka chleba, niesionego przez nich do ust; które przy lada sposobności przedkładają swą łaskę do oczu rodzicom — łaskę, jaką świadczą niby tem, że rodziców, czy też ojca czy matkę, którzy ich wychowywali, wypielęgnowali, dali im sposób do życia — trzymają przy sobie.

Źle takie dzieci czynią i Pan Bóg ich pewnie ukarze w tem jeszcze życiu. Szczęście, jeżeli jakie zdarzenie, lub jaki często drobnostkowy wypadek zwróci uwagę ich na niepoczciwość takiego postępku i jeżeli pod wpływem szczególnej łaski Bożej

W końcu przekonałem sam siebie, że to moja żywa fantazja przesuwa mi przed duszą straszne obrazy i że mi się tylko zdaje, że słyszałem głosy, — wszedłem więc do swego domu i udałem się do sypialni. Długo nie mogłem usnąć, a ostatnią moją myślą przed zaśnięciem i pierwszą po obudzeniu się była myśl o ciężkim słabym człowieku, o garstce opuszczonych dzieci i o ich dumnej matce, z jej nieugiętym charakterem i niezłamanem sercem. I co ja czułem w mej duszy dla niej, skupiało się wszystko w tem jednem westchnieniu: „Panie, nie wódź ją na pokuszenie".

Następnego ranka, wprzód nim poszedłem do szkoły, wysłałem posłańca do domu Z. z prośbą, ażeby pani przyszła do mnie w godzinach południowych. Gdy wracałem do domu, spotkałem ją tuż przed mojemi drzwiami. Widziałem ją poraz pierwszy i chociaż nie chciała po sobie dać poznać, że w jej postępowaniu i jej rysach twarzy jest coś szlachetnego, to byłem prawie przestraszony, widząc wrażenie, jakie się w tej chwili na jej twarzy malowało. Rysy jej były jakby zdrętwiałe, co się zresztą widzieć da u obłąkanych i umierających. Zaprosiłem ją do mojej pracowni, gdzie jej powiedziałem, że druga połowa domku stoi pustką, że chętnie bym kogoś chciał mieć, ktoby dom mógł zamieść, opalić i mnie kilka drobnych posług codziennych oddać; że przyszła mi na myśl ona i jej dzieci, czyby nie mogli zająć domku i podjąć się za to tej pracy; że jej mąż mógłby także tu mieszkać i tu i tam mi małe przysługi oddawać. „Jeżeli się więc zgodzicie na to", rzekłem kończąc, „to w takim razie przyjmę was z otwartem sercem".

„Ależ ja jestem dla pana zupełnie obcą", odrzekła kobieta.

„Słyszałem o was, że jesteście bogobojną kobietą, która swoje dzieci dzielnie i pobożnie wychowuje i która sama stara się chodzić zawsze prostemi drogami".

„Boże miłosierny", wybuchła, upadając na stołek i zakrywając twarz swoją rękoma, z pod których wydobywało się ciche łkanie.

Starałem się ją uspokoić i opowiedziałem jej w kilku słowach, jak się dowiedziałem o jej smutnem położeniu, i jak przez całą noc dręczyłem się o jej rodzinie i jak wreszcie szczęśliwie wpadło mi na myśl, że mogę im sam być zaraz pomocnym.

„O, to się pan o mnie troszczył, jak ja niedaleko stąd wczoraj stałam i zwątpiłam już o Bogu i ludziach!". Przy tych słowach wstrząsnęła się jak gdyby w febrze.

Straszna myśl przeszła mi przez głowę. Jednakże pokonałem się, ażeby módz dalej spokojnie rozmowę prowadzić. „Więc byliście wczoraj wieczorem nad wodą?" spytałem.

Skinęła głową.

— Nad wodą? — Skinęła po raz drugi.

— Zdaje mi się, że słyszałem wasz głos i waszych dzieci. Czy mieliście razem ze sobą dzieci?

— Dwoje! wyszeptała i upadła łamiąc ręce na kolana.

Nie potrzebuję więcej pisać, co się stało. Czytelnik domyśli się, że usłyszałem straszne wyznanie.

opamiętają się i zaczną inaczej niż dotąd postępować ze swoimi rodzicami.

Takie zdarzenie miało miejsce w pewnej wsi w Polsce.

Zamożnym w niej w gospodarzem był Maciej Koprzywa. Ojciec jego, Walenty, jeszcze przed ożenieniem się Macieja, jako jedynakowi, cały swój majątek oddał mu na własność pod warunkiem, ażeby ojca utrzymywał u siebie aż do śmierci. Przytem żona, Maciejowa, wniosła w dom jego niezgorsze wiano.

Stary, bo już przeszło 70 lat liczący Walenty, miał jeszcze jakiś zapas pieniężny, o którym Maciej dobrze wiedział.

Gdyby Maciej był dobrym i uczciwym synem, z pewnością bez żadnego wyrachowania, ale z synowskiego obowiązku pielęgnowałby staruszka i pamiętał o nim. Ale, jak mówiliśmy, młody Koprzywa był to chciwiec i sknera zawołany. Choć miał dosyć, pożądał zawsze więcej. Wiedząc, że ojciec posiada jeszcze grosz jakiś, był z początku najlepszym na pozór synem. Gdy się już Maciej ożenił i Walenty, widząc potrzeby młodych, oddał im całą gotówkę, jaką posiadał — zmieniło się naraz całe postępowanie Macieja.

Już mu ojciec przeszkadzał, już mu się naprzykrzył, już był dlań ciężarem, jużby rad był — jak się wyrażał do żony — gdyby „stary" poszedł sobie w świat z Bogiem.

Trwało to lat kilka, w czasie których majątek Macieja zwiększył się, zwiększyła się też i rodzina jego o dwoje dzieci, chłopca i dziewczynę.

Maciej przywiązany był nader do swego chłopca Piotrusia, który w chwili, kiedy to opowiadamy, liczył już rok ósmy. Matka więcej była za dziewczyną.

Dziadek oboje okchał wnuków zarówno i zawsze ich, kiedy jeszcze dziećmi małemi były, kołysał i przyśpiewywał im do snu. Potem, gdy dzieci już podrosły, Walenty całe dni przepędzał z niemi, bawiąc je i hołubiąc.

Zdawałoby się, że ta miłość dziadka do wnuków wpłynie na Macieja, że się on zmieni, że ojcu nie będzie co dnia wymawiał ,iż trzyma go tylko z łaski, że go to tyle kosztuje itd.... Ale gdzie tam! Maciej coraz częściej dokuczał ojcu, Maciejowa zaś zachowywała się obojętnie względem swego teścia cieszyło ją to jednakże, gdy widziała dzieci swoje bawiące się przy dziadku.

Jakoś na jesieni Maciej przemówił się o coś z swym ojcem i od słowa do słowa tak rozgniewał staruszka, że ten, zebrawszy swje drobiazgi, jakie jeszcze posiadał, zabrał się w zamiarze opuszczenia raz na zawsze chaty swego syna, a właściwie swego dawnego domostwa.

— Niepoczciwy Macieju! mówił rozżalony Walenty.

— Cały majątek mój tobiem oddał, grosza ostatniego pozbyłem się dla ciebie, a ty teraz ze mną obchodzisz się gorzej jak ze swoim parobkiem. Jakkolwiek żal mi mojej sadyby, gdziem myślał, że w niej zamknę swe oczy, chociaż mi tęskno będzie bez wnuczek, które Bóg widzi, jak kocham, jednak nie chcę więcej obrazy Bożej, opuszczam was. Bóg wam szczęść nadal bezemnie. Może na stare lata, znajdę kącik spokojny do śmierci.

Po tych słowach, wziąwszy tobołek z rzeczami na plecy, w rękę kosztur wędrowny, ze łzą w oku podążał ku drzwiom, by opuścić swoje rodzinne gniazdo.

Maciej z początku nic nie mówił, ale kiedy zobaczył, że stary ojciec chce ich na prawdę opuścić, na tyle był niesumiennym, że poczuł radość jakąś, iż się ojca pozbędzie wreszcie. Drwiąc zaś sobie niejako z sędziwego starca, odezwał się szyderczo:

— Wzięlibyście sobie na drogę swoją derę, coście się nią przykrywali...

Walenty zwrócił się do miejsca, gdzie sypiał, ściągnął derę a wziąwszy ją pod pachę, nie mówiąc ani słowa, począł wychodzić.

Maciejowa, zajęta gotowaniem, udawała, że ani widzi, ani słyszy.

Kiedy Walenty był już u wyjścia, Piotrek zerwał się nagle z ławy, na której siedział i dobiegłszy do dziadka, począł mu wydzierać derę, mówiąc:

— Nie, dziadku! całej dery nie bierzcie: rozdzielcie ją na pół i zostawcie drugą połowę u nas.

— A to dlaczego? zapytał ze zdziwieniem Maciej.

— Dla tego, tatulu, że jak ja was, tak jak wy dziadka, będę kiedyś wypędzał od siebie, muszę mieć także kawałek dery, żebyście mieli czemś okryć się wtedy.

Na te słowa naiwne, bo chłopięce, a proste, które usłyszał z ust dziecka, zatrząsł się mimowolnie Maciej. Jakaż do prawdziwa wróżba płynęła z tych słów. Maciej w tej chwili przeczuł, że z nim zdarzyć się może to samo, co teraz on chciał ze swym ojcem zrobić. Piotrek jak dorośnie, możeby tak samo chciał jego wypędzić, jak on Walentego. Myśl o Bogu, sprawiedliwym sędziu, zaraz przebiegła przez głowę Macieja. Bóg z pewnością pokarałby go w ten sposób, jak on chciał ojca skrzywdzić. Te wszystkie myśli wywołały nieznany żal w sercu Macieja.

Przybiegł do wychodzącego już Walentego i z pokorą wielką zaczął go przepraszać i za swoje dawniejsze postępowanie i za teraźniejszą obelgę, uczynioną ojcu.

Walenty ze łzą w oku rzekł do syna:

— Dziękuj Bogu, że się nie stało, czego chciałeś, aby się wam usunął z oczu, bo z pewnością w przyszłości spotkałoby cię to samo od Piotrka.

Natenczas i Maciejowa z dziećmi przystąpiła do teścia i zaczęła go przepraszać oraz zachęcać do zostania u nich, a poczciwy Walenty najbardziej ze względu, że gdy zostanie u syna, nie rozłączy się tak z ukochanemi przez siebie wnukami, przyjął te przeprosiny poczciwem sercem i starał się zapomnieć całkiem o postępku swego syna.

Dodać musimy na pochwałę Macieja, że od tego czasu stał się dla ojca innym jak dotąd, stał się lepszym i dla drugich. Chciwość i sknerstwo ustąpiły jakoś z jego zimnego dotąd serca.